

Mariusz Urbanek: Jeden jest jazz, Tyrmand jego prorokiem

Afisze zapowiadające koncerty najpierw literami wielkimi jak wół krzyczały: „LEOPOLD TYRMAND ZAPRASZA”, a dopiero potem, mniejszą czcionką, zapowiadały nazwiska wykonawców. Kolejka po bilety ciągnęła się za każdym razem przez kilka ulic – pisze Mariusz Urbanek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tyrmand. (Pop)kultura podmiotowości”.

Nie grał na żadnym instrumencie, nie wiedział, co to jest synkopa, a do taktu tupał jak strażak wspinający się po schodach Kościoła Mariackiego, żeby zagrać hejnał. Mimo tego bez nazwiska Leopolda Tyrmanda nie można mówić o początkach jazzu w Polsce.

Muzyka Murzynów w podartych bluzach

Zakochał się w jazzie podczas pobytu w Paryżu, gdzie w 1938 roku wyjechał studiować architekturę. To był jazz tradycyjny, w wykonaniu klasyków: Louisa Armstronga, Duke'a Ellingtona, Benny'ego Goodmana czy Glenna Millera. Zdaniem Tyrmanda jedyny prawdziwy jazz. Tuż po wojnie pokłócił się o to ze Stefanem Kisielewskim. Kisiel w „Ruchu Muzycznym” napisał, że jazz to wyfraczeni faceci w smokingach, dmuchający w trąbki. Tyrmand odpisał, że to bzdura, bo jazz to muzyka Murzynów, którą gra się w podartych bluzach.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Jazz towarzyszył mu w najgorszych chwilach. Wspominając roboty przymusowe w III Rzeszy, opisał spotkanie nad rzeką z młodym niemieckim żołnierzem, który też przyszedł się wykąpać. Godzina upłynęła im na przypominaniu sobie jazzowych motywów z *In the Mood, American Patrol* czy *Swanee River*.

Ponoć nigdy nie przekonał się do jazzu nowoczesnego. Nie interesował go modern jazz, nie akceptował be-bopu ani coolu. Uważał, że eksperymenty niszczą prawdziwy jazz. Bo jazz to Luizjana, Nowy Orlean, Murzyni, plebejskość. – Trudno było mu wyjść poza ramy jazzu, na którym się wychował – mówił mi Jerzy „Duduś” Matuszkiewicz, legenda polskiego jazzu, członek pierwszej jazzowej grupy Melomani. – A jednak, choć niełatwo z taką samą radością, co Armstronga, słuchać Modern Jazz Quartetu, był dość inteligentny, by zrozumieć, że to nieunikniona droga rozwoju jazzu.

Jazzowy wymawiał przez trzy „Z”

Wrócił do Polski rok po wojnie. Zamieszkał w Warszawie w budynku YMCA (Young Men’s Christian Association) przy Konopnickiej. W 1947 roku założył tam pierwszy w powojennej Polsce „Jazz Club”, który

prowadził z Wojciechem Brzozowskim. W ramach klubu odbywały się koncerty i jam sessions, poprzedzane prelekcjami Tyrmanda na temat historii jazzu.

– Słowo „jazzowy” wymawiał zawsze przez trzy „z”, rozciągając je niemiłosiernie – wspominał Tyrmanda jazzman i kompozytor muzyki filmowej Andrzej Kurylewicz.

– Walczył o wprowadzenie do Polski tej części wolnego świata, jaką była muzyka jazzowa – zapamiętał słynny dziennikarz sportowy Bohdan Tomaszewski.

Do klubu waliły tłumy. Młodzież skazana na trzeszczące radia „Pionier”, w których można było usłyszeć najwyżej piosenki o Nowej Hucie i na jakieś przywiezione z Zachodu płyty, odtwarzane na przestarzałych adapterach, była zafascynowana amerykańską muzyką. Pozwalała zapomnieć o szarym świecie na zewnątrz Ymki.

– Słuchając jazzu, potem grając jazz, wierzyliśmy, że to sens naszego życia, któremu Tyrmand jeszcze przydawał emocjonującego dreszczyku wolności – wspominał dziennikarz muzyczny Lech Terpiłowski.

Szybko stał się dla słuchaczy instytucją: przewodnikiem i autorytetem.

– Nie potrafił na niczym zagrać, za to wiedział kto, w którym roku i w jakim zespole grał na trąbce, a kto na bębnach. Dlatego miłośnicy jazzu Tyrmanda słuchali – opowiadał satyryk i poeta Ludwik Jerzy Kern.

U brzegów jazzu

– Wiedział, że jazz to muzyka wyzwolona, a wszystko, co wyzwolone, jest dla systemu totalitarnego groźne. To dlatego dla władzy nawet Louis Armstrong był dekadentem. A Tyrmand mówił, że jazz to wolność, więc władza go nie lubiła, a ludzie uwielbiali – wspominał Marek Karewicz, fotograf jazzmanów i jazzu.

W 1949 zadekretowano w Polsce socrealizm i dla amerykańskiej muzyki nie było już miejsca. W łódzkiej bibliotece YMCA płyty z jazzem połamano, a książki o wrogiej muzyce spalono na stosie. W Warszawie zabroniono Tyrmandowi prowadzenia wykładów. Jazz, mówił kilka lat później Tyrmand, musiał zejść do podziemia.

Prelekcje wygłaszane w YMCA stały się podstawą książki *U brzegów jazzu*, na której wychowywały się kolejne pokolenia miłośników tej muzyki.

– *U brzegów jazzu* to była dla nas lektura obowiązkowa – powiedział Lech Terpiłowski. „Pisał o kolebce jazzu z takim przekonaniem, z taką znajomością przedmiotu, jakby pół życia co najmniej spędził w Stanach Zjednoczonych – dodał w swojej książce *Szczęśliwi czują bluesa...* – A wyjechał tam po raz pierwszy dopiero w ileś lat później”.

– Przypisywał jazzowi znaczenie o wiele większe niż tylko muzyczne. Jazz był dla niego sprawą światopoglądu, wyłożył to jasno w książce *U brzegów jazzu* – opowiadał mi dziennikarz i scenarzysta Krzysztof

Teodor Toeplitz.

– *U brzegów jazzu* traktuje o wszystkim, ale nie o jazzie. Pełno w niej anegdot, historii i socjologii, ale mało muzyki – wspominał Tyrmanda Andrzej Kurylewicz.

Jam session czyli... Seans z powidłami

Tak brzmiał wymyślony przez Tyrmanda tytuł jednego z jam sessions, które zaczął organizować natychmiast, gdy po śmierci w marcu 1953 roku generalissimusa Stalina pojawiły się nieśmiałe jeszcze oznaki politycznej odwilży.

Pierwszym ogólnopolskim spotkaniem muzyków grających muzykę, której oficjalnie nie wolno było grać, były Zaduszki jazzowe 1 listopada 1954 roku w Krakowie, w nieczynnej szkole na Salwatorze. Oczywiście był tam także Tyrmand, uznany przez jazzmanów za guru. „Jeden jest Jazz, Tyrmand – jego prorokiem” – mówiono.

Koncert rozpoczął właśnie on, grając na fujarce kilka pierwszych taktów Swanee River, którą podchwycili stojący z tyłu Melomani. Od tamtego dnia Swanee River jak hejnał rozpoczyna wszystkie festiwale jazzowe w Polsce.

W marcu 1955 roku, w baraku Ministerstwa Komunikacji przy Wspólnej 72 w Warszawie odbyło się pierwsze oficjalne „Jam Session Nr 1”. Partyjna prasa wyła z wściekłości, ale jazzu już nic nie mogło

zatrzymać. Odbywały się kolejne imprezy, w ramach tzw. Estrady Jazzowej: „Studio 55”, „Zimno i gorąco”, czy „Seans z powidłami” (tak właśnie Tyrmand przełożył angielskie jam session), powtarzane kolejno w Warszawie, Łodzi, Katowicach, Szczecinie i Poznaniu. Afisze zapowiadające koncerty najpierw literami wielkimi jak wół krzyczały: „LEOPOLD TYRMAND ZAPRASZA”, a dopiero potem, mniejszą czcionką, zapowiadały nazwiska wykonawców. Kolejka po bilety ciągnęła się za każdym razem przez kilka ulic.

Jazz wyszedł z podziemia

W sierpniu 1956 roku odbył się I Festiwal Jazzowy w Sopocie. Za rok – następny. Na obu zagrali także muzycy grający jazz nowoczesny, w tym Krzysztof Komeda ze swoim sekstetem. Tyrmand nie miał wątpliwości, że to jest miejsce także dla nich.

6 sierpnia 1956 roku, pierwszego dnia festiwalu, sopockim Monciakiem szedł tłum jazzmanów i fanów jazzu, krzyczących: „Niech żyje jazz!”. Nieśli transparenty z hasłami „Nie damy się” i „Dupa”, co wywołało kolejny skandal w partyjnej prasie. A wieczorem Tyrmand otworzył festiwal.

– Leopold prowadził koncerty, wybierał utwory, ustalał kolejność, w jakiej mają być zagrane, sugerował nam nawet jak grać – wspominał Matuszkiewicz.

Jerzy Suszko, dziennikarz i scenarzysta, zapamiętał wystąpienie Tyrmanda w Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Mówił oczywiście o jazzie. Pierwsze słowa wygłosił takim tonem, jakby ogłaszał zmartwychwstanie Polski:

– Jazz wyszedł z podziemia.

W Donosach na Kisiela Suszko napisał, że powiedział to „głosem Robespierre’a obejmującego władzę”.

Tryumfował: – Pełna sala i on witany jak bohater – dodał Bohdan Tomaszewski.

Kiedy mówił, „r” wymawiał jak hrabia w przedwojennym filmie: – Gdy w okresie jazzowych katakumb walczyliśmy z władzą... – tu następowały oklaski, które jeszcze go nakręcały

Po festiwalach w Sopotcie wymyślił Jazz Jamboree w Warszawie, które aż do wyjazdu z Polski każdego roku inaugurował grając *Swanee River*.

Żaden jazz nie sięga pięt Mickowi Jaggerowi

Dlatego szokiem dla środowiska było, kiedy na początku lat sześćdziesiątych Tyrmand odwrócił się od jazzu. To był moment, kiedy jazzmani zamienili powyciągane swetry na garnitury i zaczęli

występować w filharmoniach. A on uznał, że muzyką przyszłości jest rodzący się właśnie rock & roll, nazywany w Polsce big-bitem.

– To rock stał się wtedy muzyką walczącą, buntem przeciwko zastanym wartościom – wspominał Franciszek Walicki, który wspólnie z Tyrmandem organizował festiwale w Sopocie. – Tyrmand słyszał w jazzie tęsknotę do wolności. Dlatego Ignął do tej muzyki w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, i dlatego porzucił ją, gdy jazz stracił smak owocu zakazanego.

Tyrmand przyniósł mu kiedyś pierwszą płytę Rolling Stonesów.
Powiedział:

– Posłuchaj tej muzyki, żaden jazz nie sięga pięt temu, co robi Mick Jagger.

Cytowane wypowiedzi pochodzą z rozmów, które przeprowadziłem pisząc książkę „Zły Tyrmand”.

Mariusz Urbanek jest autorem książki „Zły Tyrmand”, której wznowiona i poszerzona wersja właśnie ukazała się w księgarniach.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

